

Śnieg zacinał mocno, bezlitośnie siekąc odsłoniętą skórę. Przypominające szpony kościste palce obracały niewielki kawałek lodowatego metalu, wyobrażający równoramienny krzyż o ciężkiej do odgadnięcia w mroku nocy barwie. Migoczące w ciemności ślepie, ukryte pod kapturem, błdziły po zarysach najbliższego otoczenia, dostrzegając jedynie mgliste kształty, brzeg skutej lodem Odry majaczył w oddali.

Przez huk szalejącej zamieci przedarł się dźwięk, niewyraźny z początku, narastający jednak z każdą chwilą, przybierający postać nieskładnego, bełkotliwego nieco, śpiewu. Oczy spróbowały przebić się przez kurzawę, wylapując w końcu, migotliwe z początku, nadchodzące sylwetki, pięć. Okutani w grube, puchowe kurtki, na wałach pojawili się mężczyźni, chwiejnym, niepewnym krokiem zmiernym przed siebie, w dłoniach dzierżąc puste już w zasadzie butelki po wódce. Brnęli przez śnieżne zasy z zapalem godnym lepszej sprawy, zdecydowanie mieli obrany cel wędrówki. Co jednak sprowadziło ich w to miejsce o tak niefortunnej porze? Do tego przy takiej pogodzie? Umysły dresiarzy zazwyczaj pracują w sposób inny, niż u zwykłych ludzi, umysły wypitych dresiarzy przeprowadzają procesy niepojęte zupełnie dla nikogo.

Dlatego też pięciu dzielnych skinheadów, brodząc niemalże po pas w białym puchu, radośnie parło przed siebie, nie zważając na wlokącego się daleko za nimi kompana, który ewidentnie miał dość imprezy na dziś. Posuwając się do przodu na czworakach, nie miał najmniejszych szans zobaczyć czegokolwiek, co znajdowało się na odległości większej od pięciu metrów, a że jego kompani już jakiś czas temu przekroczyli ten dystans, to nie miał najmniejszych szans, by ich odnaleźć. Będąc w stanie, w jakim był, nie wpadł na to, by iść po śladach.

Nie mógł też dostrzec sylwetki, która nagle wyrosła jakby znikąd tuż koło niego, no bo i jak, kiedy był wpatrzony w ziemię?

Szponiaste łapy chwyciły kostki, wychudłe nogi zaparły się o ziemię, chłopak zarył twarzą w zimny, stwardniały grunt, rozbijając wargę. Zaczął się szamotać, ale uścisk chłodnych dłoni był nieugięty, jak w imadle, spróbował wstać, używając rąk, ale dłonie rozjechały się na śniegu, walnął głową o ziemię po raz kolejny. Wyswobodził prawą stopę, kopnął na oślep, chyba trafił, nie był pewien, napastnik jednak nie odpuszczał. Stęknąwszy, przyskoczył do leżącego, usiadł na nim okrakiem, okładając go pięściami po potylicy.

Pijany niewiele mógł zrobić, przerażony osuwając się w ciepłe objęcia omdlenia. Zanim zupełnie utracił świadomość, jego uszu dobiegło pojedyncze słowo, zniekształcone przez wycie wiatru, ale jakby znajome. Zanim jednak doszedł, skąd je znał, stracił przytomność.

Rano nie znaleziono ciała, a niekę wyżłobioną przez akt ciągnięcia go wzdłuż wałów zasypał opad trwający nieprzerwanie od tygodnia.

Prywatne Biuro Detektywistyczne Janka Zabijaki można było określić wieloma terminami, jednakowoż „schludne” tudzież „zadbane” nie znajdowały się na ich liście. Tynk odpadający z poszarzałych ścian zdobił pooraną bruzdami posadzkę, blat starego, postpeerelowskiego biurka był poznaczony dziurami po ostrzu noża, tu bystre oko mogło dostrzec fragmenty potłuczonego szkła, niedomykające się okno, straszące żółtą kratą, trzaskało w regularnych odstępach czasu o ramę, obłupując złuszczoną farbę.

Wielkim marzeniem Jana, który rzeczywiście odziedziczył po ojcu niecodzienne nazwisko „Zabijaka”(jego geneza nie była nikomu znana, podobno zmienił, uciekając za granicę), było od dziecka zostanie detektywem. Nie policjantem, uznawał to za ordynarnie nudne i pospolite, jemu śniło się biuro śledcze z prawdziwego zdarzenia, gdzie będą przychodzić w

poszukiwaniu pomocy piękne kobiety i starsi, tajemniczy panowie ze złotymi zegarkami na nadgarstkach, którzy, nie podając nawet swojego imienia, zlecać mu będą do rozwikłania rozmaite, szalone zagadki, zawstydzające swą zawziętością samego Sherlocka. Od momentu, w którym skończył dziesięć lat odkładał na ten cel pieniądze, odmawiając sobie wszelkiego rodzaju przyjemności – od gier wideo po alkohol. W zeszłym roku, wypełnionym ciężką pracą na magazynie w jakiejś lokalnej firmie za psi grosz, udało mu się w końcu wynająć niewielkie lokum w podłej dzielnicy na Zaodrze. Przekonany, że właśnie rozpoczyna karierę w swym ukochanym zawodzie pojechał zaraz po podpisaniu umowy obejrzeć swą nową siedzibę.

Okazała się być niebywałą speluną, której opis zawarto powyżej. Kolejny miesiąc harował dorywczo, by uzbierać jakieś środki na chociaż skromną renowację. Zresztą sam nie wiedział w sumie po co, skoro życie zdążyło mocno zrewidować jego poglądy na życie, doskonale więc zdawał sobie sprawę z prostego faktu, iż prywatni detektywi wcale nie byli tak pożądanymi, jakby się mogło wydawać. Mimo to, zamieścił w lokalnej gazecie ogłoszenie, z nadzieją że pojawią się jacyś klienci. Jacykolwiek.

Stał przy rozwalonym oknie, tłukącym głośno, wpatrując się w padający wolno z nieba śnieg. Z niewyjaśnionych przyczyn ten widok działał na niego kojąco, chociaż jak większość ludzi, wyklinał na niego, musząc odśnieżyć auto, czy jadąc ulicą. Było coś w tej łagodnej biele, co go z automatu uspokajało. Z plecami miał odrapane drzwi, kolejną rzecz, którą miał nadzieję odnowić, przy prawej nodze stała biała farba z zanurzonym w środku pędzlem, część zmalutowanej ściany pyszniła się bielą, efekt niszczyły jednak widoczne dziury.

Upstrzonymi białymi plamkami palcami formował skręta ze smakowym tytoniem, wiśnia, lubił ten smak. Nie palił sklepowych papierosów, powtarzając, że skoro już ma się truć, to woli czymś, czego dokładny skład zna. Na blacie obłożonego ochronną folią biurka stała do połowy opróżniona poprzedniego wieczora z jego kumplem, Pawłem, butelka wódki. Mieli wspólnie odmalować ściany kłitki, ale jakoś tak się złożyło, że żadnemu się zbytnio nie chciało, a Paweł miał w bagażniku wolną butelkę, wieczór sam więc im uleciał.

Dochodził właśnie do połowy pierwszej elewacji, z dymiącym petem trzymanym w kąciку ust, kiedy rozległo się donośne walenie do drzwi. Rzucił kątem oka na wiszący zegar ozdobiony podobizną jakiegoś superbohatera, kupiony po promocji w chińskim centrum handlowym. Dochodziła czternasta, Paweł już od dawna siedział w robocie, więc to nie on przybył, by dokończyć malowanie. Kogo więc licho niosło?

Ostrożnie przestępując nad porzrzucanymi na ziemi kłopotami dotarł do wejścia, nacisnął klamkę, pociągnął.

Na korytarzu stało pięciu wyraźnie zaaferowanych byczków. Stereotypowi dresiarze, jak z obrazka. Łysi, w bluzach z kapturami, obwisłych dresach na tyłkach, zionący niedotrąwionym alkoholem na kilometr, blade płomyki inteligencji, który mógł niegdyś tlić się w ich wodnistych oczkach, już dawno zgasł. Mógł się oczywiście pomylić w swej pochopnej ocenie, raz spotkał na blokowisku przy obrzeżach miasta skinheada lubującego się w nocnych dyskusjach o filozofii na swej ulubionej ławeczce przy zimnym piwku. Widywali się czasami, by rozprawiać o świecie. Nigdy się nie przedstawił z imienia, o sobie mówił po prostu „Filozof”.

- Panowie w sprawie? – zapytał stojące przed nim indywidua.

- Detektywa prywatnego Janka Zabijaki – odrzekł ten na przedzie. Dowódca grupy, znaczący się. – To tu?

Detektyw prywatny Janek Zabijaka potwierdził skinieniem głowy.

- Tu. Ale widzicie, mały remont aktualnie robimy, więc jeżeli mają panowie sprawę...

- Damy radę – wtrącił niski, krępy, wczorajszy jeszcze.

- Zapraszam – mruknął, nie wdając się w zbędne dyskusje. – Uwaga na farbę – ostrzegł.

Dresiarze włąli się do niewielkiego pomieszczenia, niemalże zajmując całą jego skromną powierzchnię, Jan oparł się o biurko, zaciągnął aromatycznym dymem i posłał przybyszom pytające spojrzenie. Kiedy nie zrozumieli, a milczenie przeciągało się, postanowił zainicjować rozmowę.

- No? O co chodzi? – zapytał, nieco zbyt ostro, jak zauważył po faktcie. Ale tamci się nie przejęli, postępowi, widać.

- Nooo – zaczął lider – kumpel nam zniknął.

- To chyba dla policyjnych sprawa, nie? – odpowiedział odruchowo, zanim zdołał ugryźć się w język. Po pierwsze, potrzebował tej roboty. Po drugie właśnie zasugerował drecholom, żeby poszli na policję. To mniej więcej tak, jakby powiedzieć Żydowi, żeby się zapisał do neonazistowskiej bojówki. Dwa kardynalne błędy w jednym zdaniu.

- Do tych niebieskich... Tych policyjnych...?! – obruszył się wysoki. – No nie, no bez przesady, z nimi się przecież dogadywać nie będziemy! – Zrobił ruch, jakby chciał splunąć. – Co ty, chłopie, konfident jesteś?

Jan wykonał obronny gest.

- Sorry, tak mi się powiedziało. Dobra, mówcie, co z tym waszym kumplem.

Szef podrapał się bo lśniącej łysinie.

- No, poszliśmy przedwczoraj do baru na drina z chłopakami, wypiliśmy trochę i nad ranem wracaliśmy na metę do Matiego wałami.

- Wałami? – zdziwił się Zabijaka. – To gdzie ten bar?

Dres wzruszył ramionami.

- Kij wi. Wypici już byliśmy, jak tam szliśmy. Jakaś speluna na Zaodrze, gdzieś w okolicach tego, gdzie kiedyś wypożyczalnia z filmami była. Kojarzysz?

- No, kojarzę.

- No. I wracaliśmy po tych wałach...

- W sumie, po kiego wałami? Nie lepiej normalnie, drogą?

- Padało, tak? No – podjął – i wracamy, doszliśmy już, liczymy się, a Piotrka już nie ma.

- Piotrka?

- No, tego kumpla. Niby nic, pewnie gdzieś zaległ po drodze, ale zimno jak cholera na dworze, to poszliśmy go z rana szukać, dzwoniłmy cały dzień, nic, w domu go nie było, do nikogo nie przyszedł, nie ma. Ale zamarznąć też raczej nie zamarznął, ktoś na pewno by zobaczył. Więc zaginął.

- I tu wchodzi ja?

- Tak – potwierdził. Sięgnął do kieszeni bluzy, wyjął pliczek pomiętych banknotów. – To zaliczka – oznajmił z dumą. Najwyraźniej całą wiedzę o detektywach czerpał z poważnych seriali puszcanych w publicznej telewizji.

- Moment, moment. Kilka pytań. Po pierwsze, na którym odcinku wałów byliście?

- Tam, gdzie most remontują od kilku lat, a z rok temu drogę rozkopali. Niemodlińska?

- Niemodlińska. Okej, jak Piotrek ma na nazwisko?

- Kowalski.

„No przecież”, pomyślał Jan.

- Gdzie mieszka?

- Na ZWM-ie. Klatka dwanaście, mieszkanie chyba trzynaście. Starego nie ma nigdy u niego, tylko matka.

- Ma jakąś ksywę? – Znał zwyczajnie dresiarze. Jak nie miałeś pseudonimu, to byleś nikim.

- Ma, „Łysy”.

„No przecież”.

- Dobra, coś jeszcze? Coś, co może pomóc? Miał jakąś dziewczynę, innych znajomych? Kogoś wkurzył?

Zgromadzeni popadli w zadumę. W końcu odezwał się najmniejszy.

- Tego turasa, co go skopaliśmy kiedyś – wypalił. – Może wziął kumpli i na Łysego skoczyli?

- W takiej pizgawicy? – zapytał lider. – Nie, nie miał, raczej nie miał, a jak miał, to nie powiedział. Dziewczyny nie miał, znajomych też raczej nie, z nami się trzymał zawsze. To co, znajdziesz go?

Popatrzył na trzymany w brudnej łapie zwitek banknotów, mogło tam być co najwyżej parę stówek. Niby nic, ale darowanemu koniowi w zęby się przecież nie zagląda. Wzruszył ramionami.

- Spróbuję. Ale niczego nie obiecuję – podkreślił.

Siedział w swoim wiekowym Volkswagencie, podarowanym mu na osiemnaste urodziny przez całą rodzinę, przekręcając raz po raz klucze w stacyjce. W końcu silnik zaskoczył, zawarczał donośnie, zapiszczały wycieraczki, w głośnikach rozbrzmiały dźwięki *The Number of the Beast*, zawsze znajdującego się w odtwarzaczu, trzasnął kamień w drogiej zapalniczce, kolejnym prezencie, w kabinie uniósł się niewielki obłoczek wiśniowego dymu. Ruszył zaśnieżoną uliczką, manewrując na wąskich zakrętach, oglądał pograżone w ciszy Opole, miasto senne nawet w normalnych warunkach, które o godzinie dziewiętej wieczorem już całe spało, a nocną ciszę zakłócały jedynie bandy podпитыh nastolatków.

Przełączył na radio.

- *Meteorologowie ogłaszają śnieżycę stulecia* – ozwał się spiker. Jan spojrzał na kurzawę za szybą. – *Ostrzegają, że jeżeli opady nie ustaną, ulice w ciągu najbliższych dni będą zupełnie nieprzejezdne.* – Wrzucono wypowiedź jakiegoś naukowca, gadającego coś o zmianach klimatycznych i umierającej Ziemi. Dziennikarz skomentował, przypominając że każdy przyczynia się do globalnego ocieplenia. „Tak, ocieplenie, że o ja ciebie”, sarknął w myślach. – *A teraz wracamy do naszej audycji „Hity Lat Dziewięćdziesiątych”...* - Z głośników popłynął strumień generycznych dźwięków jakiegoś starego disco. Wrócił do Iron Maiden.

Mała dziewczynka, rażąca oczy różem ubioru i wypchanego książkami tornistra, przedzierała się z mozołem przez śnieżycę, w drodze powrotnej do domu. Grudki białego puchu wpadały za cholewy bucików, wzbudzając fale dreszczy obiegających niewielkie ciało. Weszła na wąski most wiodący nad zamarznąłą rzeką, przystanęła, pochwycawszy kątem oka jakieś poruszenie na pokrytych zaspami wałach. Przyjrzała się dokładnie.

Jakież było jej zdziwienie, gdy dostrzegła dorosłego mężczyznę rozkopującego zwały krupy, z zapamiętaniem odrzucającego na boki białe chmury porywane od razu w powietrze

przez wiatr. Rył tunele niczym dzik buszującym w leśnym poszyciu, zupełnie zatraciwszy się w swoim zadaniu.

Zdał się jej dość młody, miał jakiś metr osiemdziesiąt, wygolone na skroniach, złociste włosy targały silne podmuchy, ciemny płaszcz sięgający kostek opinał ciasno szerokie ramiona, na kilkudniowym, jasnym zarostcie osiadały niewielkie płatki, odziane w lśniące, czarne rękawice dłonie kopały bez wytchnienia.

Zaintrygował ją szczerze ów widok, ale wzruszyła ramionami i ruszyła dalej. W domu już czekały pierogi ruskie, babcia przyjechała w odwiedziny.

W tym samym czasie Jan, nieświadomy zainteresowania, jakie wzbudza, przekopywał się przez coraz to kolejne zwały śniegu, nie zważając na orzący skórę na twarzy wichur. Cały już przemókł, kłął pod nosem, wymyślając coraz to ciekawsze wiązanki, oscylując głównie wokół rodowodów dresiarzy, którzy gubią swojego przyjaciela podczas śnieżycy.

Zrezygnowany po niemalże godzinie bezowocnych poszukiwań, kopnął z bezsily w najbliższą zaspę, syknął, uderzywszy palcem w coś twardego. Pochylił się na przedmiotem twardo utkwionym w śnieżnej pokrywie, wyszarpnął mocno, zlustrował dokładnie. Pusta do połowy butelka taniej wódki, sądząc z głębokości leżąca tu co najmniej od kilku dni. Zamyślił się. A może? Przyklęknął, włożył w dziurę dłonie, zaczął grzebać. Po chwili znalazł nakrętkę naczynia, a także portfel, którego zawartość od razu sprawdził. Zgodnie z jego przypuszczeniami, w środku odszukał dowód osobisty niejakiego Piotra Kowalskiego, znanego szerzej jako Łysy. Przypatrzył się czarnobiałemu zdjęciu. Typowy skinhead, ocenił pospiesznie Zabiaka, o tępych wejrzeniu, które mówił, że jego właściciel szukał tylko okazji do zwady. Schował z powrotem dokument i powrócił do kopania, w nadziei wygrzebania czegoś jeszcze. Nie minęło wiele czasu, gdy namacał jakiś niewielki przedmiot.

Na otwartej dłoni leżał czarny krzyżyk, podobny do tego noszonego przez rycerzy podczas średniowiecznych krucjat. Wykonany był wyjątkowo dokładnie, lśnił nienaturalnym blaskiem, mamił przyjemnie wzrok. Wykończenia zrobiono z jasnego metalu, srebra, zdaje się, chociaż Jan nie był w stu procentach pewien, nie znał się za bardzo na tym, wzdłuż poziomych ramion biegł mikroskopijny napis, którego nie był w stanie odczytać. Włożył bibelot do kieszeni, otrzepał kolana, po czym skierował się z powrotem ku stojącemu nieopodal samochodowi.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił, usadowiwszy się wygodnie w fotelu kierowcy, było włączenia ogrzewania, potem odpalił muzykę, poszukał prędko w internecie najbliższych położonych barów, pubów i innych tego typu spelun. Wyświetliło się kilka wyników, od rozmaitych klubów, po knajpę o dumnej nazwie „Bar u Wieśka”, znajdującą się raptem parę przecznic dalej. Janek uznał, że najlepiej będzie rozpocząć sprawę tam.

Siedział przy zabezpieczonym folią biurku, paląc, analizując zebrane informacje i popijając tanie piwo kupione w pobliskim sklepie chwilę wcześniej, wsłuchując się w psychodeliczne dźwięki Pink Floyd lecące z niewielkiego zestawu grającego. Kłęby siwego dymu unosiły się pod sufitem, szczypiąc płuca, czarny krzyżyk z napisem „Mortem” odbijał migoczące światło jarzeniówki, a Jan ścisnął skronie, całkowicie zagubiony.

Tak jak myślał, Piotrek wraz z kompanią zatrzymali się „U Wieśka”. Bar, znajdujący się w jednej z bocznych uliczek na starym osiedlu, odstraszał widokiem pożółkłych ścian, poobdzieranych, zabrudzonych wszystkim od piwa poprzez wymiociny aż po graffiti, borych, zakratowanych szyb oraz starych drzwi, skrzypiących w zawiasach. Kiedy wszedł do środka,

uderzyła go woń niedotrawionego alkoholu i tanich papierosów. Przy chwiejnych stolikach siedzieli zapuszczeni bywalcy, których przez grzeczność tylko nie określił mianem meneli, za zasyfioną ladą stała młoda, niska, nieco korpulentna dziewczyna, której w sumie dość ładną twarz szpeciły blizny po trądziku. Popatrzyła na niego ze zrezygnowaniem, ale chętnie porozmawiała, widząc, że prezentuje jednak wyższy poziom intelektualny od stałej klienteli. Potwierdziła, że grupa kilku łysoli przetoczyła się niedawno przez ich skromne podwoje, ale nic więcej nie wiedziała, poza tym, że ponoć straszną burdę zrobili. Mówiąc to, wskazała na dziurę w ścianie, wybitą najpewniej czyjaś głową. Poleciała popytać bywalców.

Chociaż niechętnie, Zabijaka przystąpił do zadania. Wypytał dziesięciu cuchnących, brudnych dziadów o wydarzenia sprzed dwóch dni, pięciu potwierdziło, że było świadkami przybycia i wyjścia grupy dresiarzy, kilku opowiedziało o chryi, jaka miała rzekomo mieć miejsce. Poszło chyba o piłkę nożną, chociaż kto ich tam wie. W każdym razie rzucili się na Rysia, Bogu ducha winnego bezdomnego, który nikomu przecież nie wadził, i rzucili nim o ścianę, po czym zmyli się bez płacenia. Jan coraz bardziej żałował, że zgodził się zgłębić tę śmierdzącą na kilometr sprawę.

Podniósł lupę i jeszcze raz przyjrzał się niepozornemu amuletowi. Wyryte z niezwykłą starannością słowo „mortem” aż kłuło w oczy, twórcy ręka nie drgnęła ani razu. „Śmierć” to dość ciekawe słowo do napisania na krzyżu, ale co mógł on, zadeklarowany ateista, wiedzieć na ten temat? Przygodę z kościołem zakończył na etapie pierwszej komunii, spowiedź nie przypadła mu zbytnio do gustu. Może jakiś ksiądz zgodziłby się wydać ekspertyzę, choćby i za niewielką odpłatą, na temat podejrzanego bibelotu?

Chciał poszperać nieco w bibliotece miejskiej, ale zanim by dojechał, już byłaby zamknięta, machnął więc na to ręką. Wrócił do swojej klitki, by poddać się rozmyśleniom, jakkolwiek jałowe nie okazałyby się być.

Wstał nie używając rąk, zaciągnął się aromatycznym dymem, tym razem jabłkowym, wiśnia skończyła się po południu, a nie miał głowy, żeby dokupić. Wyjrzał przez jedyne okno swojej klitki na zaśnieżoną panoramę rozświetlonego tu i ówdzie nikłymi punktami latarni, reflektorami samochodów oraz nielicznymi neonami. Śnieżyca, chociaż nie ustała, zelżała nieco, pozwalając na dostrzeżenie blokowiska leżącego w dali, niknącego w mroku wieczora. Białe gwiazdki opadały powoli, spokojnie w dół, by zalec na szczytach dachów, samochodów, w koronach drzew, na chodnikach, ulicach, w ogródkach, na placach zabaw, na odsłoniętych głowach, kapturach, czapkach. Miasto ogłaszało znaczne utrudnienia w ruchu drogowym ze względu na zalegające wszędzie zaspę.

Zgasił pęta, przystąpił do skręcania następnego, uśmiechnął się krzywo. Matka zawsze mu wypominała, że to niezdrowy nałóg, chociaż sama przy wszelkich możliwych okazjach za kołnierz nie wylewała. Ciężko się było z nią nie zgodzić, ale cóż mógł poradzić, zaczął mając lat szesnaście i tak już zostało. Przypalił końcówkę, rozsiadł się w zafoliowanym wiekowym fotelu, puścił w górę kilka kótek, opadł ciężko na oparcie. Trwał tak w bezruchu, czując mocne, basowe wibracje biegnące po posadzce z głośników aż do jego stóp.

Idyllę przerwał donośny dzwonek telefonu. Jan zaklął szpetnie, wyciszył muzykę, wciągnął do płuc obłok dymu, wypuścił przez zęby, odebrał. Usłyszał znajomy głos matki. Pytała, co u niego, jak się czuje, czy niczego mu nie brak. Zapewnił oczywiście, że wszystko w porządku, nie musi się o nic martwić, wszystkiego ma pod dostatkiem. Cóż, z wiekiem kłamanie staje się coraz łatwiejsze.

Potem gładko przeszła do pytania, czy będzie na jutrzejszym rodzinnym obiedzie. Odruchowo spojrzął na zegarek, nie wiedział w sumie czemu, zamyślił się na chwilę, po czym potwierdził, zapytawszy jedynie o godzinę. Dwunasta. Tak, tak, oczywiście, przyjedzie.

Z rodziną zawsze utrzymywał dość dobre, ciepłe stosunki, jednak ostatnimi czasy wciąż nie mógł znaleźć dla niej wolnej chwili. A to trzeba było jechać do roboty, zająć się „biurem”, podrzucić komuś jakiś drobiazg, zawsze coś. Raz na jakiś czas odwiedzał tylko matkę, by wysłuchać, co u niej, samemu jednak odzywając się z rzadka.

Obiad przebiegł dość spokojnie, na pytania rodziny odpowiadał rzeczowo i krótko, jadł w ciszy, głównie słuchał opowieści wujka Staszka, który pracował w policji od wielu lat. Krewniak rozprawiał o mniejszych i większych przestępstwach, remontach połowy dróg w mieście, niekompetencji niższych rangą oraz, oczywiście, nienaturalnej wręcz zawiei, utrzymującej się przez długi okres nad Opolem. Bąknął do tego coś jeszcze o ciekawszej sprawie, bodajże serii zaginięć, co zaciekało Jana na tyle, by dopytać o szczegóły.

Wywołało to niezwykle skonfundowanie wszystkich zebranych, nawykłych do jego cichości. Wujaszek jednak nie dał się długo namawiać (można powiedzieć, że w większości polskich instytucji, w tym państwowych, panował nepotyzm, a dzielenie się różnymi ciekawymi historiami z pracy było na porządku dziennym), nie zwlekając przystąpił do opisu sytuacji.

Otóż od paru tygodni regularnie znikali ludzie, sześć niepowiązanych ze sobą spraw. Raz zaginęła jakaś blondyna, innym razem student chemii, kiedy indziej taksówkarz, nie było żadnego wzorca, poza tym, że przepadali w środku nocy. Sprawa celowo nie była nagłośniana, no bo i po co?

Wujaszek dodał jeszcze od siebie nieco narzekań na komendę, że się rozleniwili i tylko mandaty by wszystkim wlepiali, że alkoholizm, degrengolada i żalność. Jan już go nie słuchał, w myślach dokonywał szybkich kalkulacji i wycień. Wszystkie zaginięcia miały miejsce ze środy na czwartek, ale w tym tygodniu żadnego nie zgłoszono. Policjanci uznali więc sprawę za zamkniętą, podczas gdy ofiarą był Piotr Kowalski, pseudonim artystyczny Łysy, a jego zniknięcia po prostu nie zgłoszono z powodu antypatii do władz.

Posiedział do końca, chociaż nie było lekko, pomógł rodzicielce posprzątać, pożegnał się z całą rodziną, wyściskał mamę Zabijkę, z domu Hrywiczównę, wyszedł z powrotem na zaśnieżone ulice, wszedł do auta, pojechał do najbliższego sklepu.

Teraz rozwalił się wygodnie na ławeczce przy opustoszałym placu zabaw, oświetlonym jedynie dwiema marnymi latarniami, naprzeciwko stała bliźniacza, zielona ławka, przysypana białym puchem, skrzypiały łańcuchy huštawek, na delikatnym wietrzyku wirowały ogromne płatki śniegu, tliła się końcówka skręta, obłoczek dymu zmieszany z parą ulatywał co jakiś czas w powietrze. W słuchawkach rozbrzmiewały kojące dźwięki post-rocka.

Wtem w snopie żółtawego światła rzucanego przez lampę zjawiła się wysoka, zakapturzona postać, nie dało się dostrzec dokładnych rysów jej twarzy. Nosila niebieskawy dres, czarne, skórzane rękawiczki, sportowe obuwie, w prawej dłoni trzymała grubą siatkę z jakiegoś hipermarketu. Podeszła do siedzenia znajdującego się po przeciwległej stronie ścieżki, otarła ją ze śniegu, usiadła. Uniosła głowę, dopiero wtedy dało się dostrzec szczegóły owalu lica.

Na dużym, skrzywionym nosie siedziały wygodnie lenonki, pomimo panującego wokół mroku zdawały się noszącemu je człowiekowi nie przeszkadzać, wydatna szczeka, poznaczona kilkoma drobnymi bliznami, krzaczaste brwi, pełne wargi rozciągnięte w szyderczym uśmiechu.

- Filozof – powitał przybyłego Jan. – Co u ciebie?

- Cześć, Janek – odwzajemnił pozdrowienie. – Dobrze, dzięki że pytasz. A tobie jak leci? Wyglądasz, jakby cię coś męczyło. – Zabijaka przytaknął bez większych oporów. - Mo-

gę mieć remedium na twe problemy. – Sięgnął do reklamówki, pogrzebał w niej, szeleszcząc sztucznym tworzywem, wydobyl z wnętrza dwie zielone kapslowane butelki. Rzucił jedną rozmówcy. Detektyw wyjął z kieszeni płaszcz sprężynowy nóż, uporał się bez problemu z zamknięciem, podał narzędzie swemu dobroczyńcy, przez krótki moment sączyli piwo w milczeniu. – No, to opowiadaj, co cię gryzie. – Jan streścił pokrótce przebieg wydarzeń ostatnich dni, od przybycia dresiarzy, poprzez wycieczkę na wały, aż po obiad, podczas którego to dowiedział się o większej ilości zaginięć i ich cyklu. Filozof podrapał się urękawiczoną dłonią w podbródek, wyraźnie zamyślony, chociaż ciężko było to stwierdzić przez jego fioletowawe okulary. Jan stwierdził, że widzenie oczu rozmówcy pozwala na łatwiejsze interpretowanie jego odpowiedzi, zapisał sobie w pamięci, by nabyć przy najbliższej okazji przyciemniane szkła. – Faktycznie, niezła historia – oznajmił po przedłużającym się milczeniu dresiarz. – I co teraz zamierzasz zrobić?

- Sam nie wiem – przyznał, popijając piwo. – Chciałem pójść do kościoła, żeby wiedzieć się co nieco o tym bibelocie, o którym wspominałem – zdecydował.

- Masz go może przy sobie? – zaciekawiał się. Zabijaka obmacał poły płaszcza i ze zdziwieniem stwierdził, że w istocie, najpewniej w odruchu, zabrał ze sobą tajemniczy przedmiot. – Pokaż. – Czarny krzyżyk poleciał w powietrzu, lądując w odzianej w czarną skórę ręce. Dłoń zbliżyła amulet do oczu Filozofa, odbijając się w wielkich szklach okularów, przywodzących na myśl oczy jakiegoś owada. Krzaczaste brwi zmarszczyły się, Janowi wydało się, że dostrzega drobne poruszenia kulfoniastego nochala. – Myślę, że powinienesz zostawić tę całą sprawę w spokoju – zawyrokował w końcu, oddając detektywowi przedmiot zainteresowania.

- Wiesz, co to? – odrzekł.

- Tak myślę. Ale – dodał – nie mam pewności, więc nie będę ci nic mówił. Nie rób takich oczu – podjął, widząc wyraz twarzy Jana. – Uwierz mi jednak na słowo, z tej sprawy nic dobrego nie wyniknie – powiedział z dziwnym przekonaniem.

- Co masz na myśli?

- Pozwól, że zobrazuję ci to w postaci pewnej historii z mojego życia. – Odchrząknął. – Dotyczy ona mojego świętej pamięci dziadunia i żywię nadzieję, że wyniesiesz z niej należyty morał. – Dopił zawartość butelki, schował puste naczynie do siatki, wyjął następną, podał jeszcze jedną Zabijace, powtórzyli w ciszy rytuał z początku spotkania. – To było, jeśli dobrze pamiętam, w czterdziestym, kiedy byliśmy pod okupacją hitlerowców. Dziadunio mieszkał wtedy z żoną i dziećmi w kamienicy przy ulicy Kościuszki, wyszedł pewnego dnia na dach, nie wiem po co, może po prostu, dla relaksu. To było wtedy, kiedy Niemcy kładli te swoje drogi z betonowych płyt, zrywając starą nawierzchnię, dziadunio z czystej ciekawości podszedł do krawędzi dachu i popatrzył. – Pociągnął solidny łyk. – Zobaczył tylko, że tamci coś wyciągają spod ziemi i dokładnie oglądają, nie widział dokładnie co, wołał się również nie dowiadywać, wrócił więc co prędzej do mieszkanek i nikomu o niczym nie powiedział. Potem przyszli Czerwoni, jak pewnie wiesz. I początkowo dziadunio myślał, że po kłopotach, ale pewnego razu zaczęli wypytywać o te nazistowskie drogi, no i trafili w końcu i do dziadunia. Zorientowali się, że coś kręci, wysłali do gułagu i tyle go tata z babcią widzieli.

- A morał? – dopytał chłopak.

- Ależ bardzo prosty – zaśmiał się Filozof. – Im mniej wiesz, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że będziesz miał kiedyś kłopoty. Dobrze – kiwnął z uznaniem na piwo. - Rozumiesz, co mam na myśli? – zwrócił się na powrót do rozmówcy.

Jan potaknął skrzętnie.



- Oczywiście. Wiem, co chcesz mi przekazać. – Łyknął gorzkawego napoju. Faktycznie był dobry. – Założmy jednak – strzelił palcami wolnej ręki – czysto hipotetycznie - zaznaczył – że nie skorzystam z twojej rady i będę drażył sprawę dalej, ba, może nawet się czegoś dowiem. Co wtedy? – Uśmiechnął się paskudnie. Filozof posłał mu dokładną kopię jego własnego grymasu.

- Wtedy – zaczął powoli – doradziłbym ci raz jeszcze. – Brwi Jana powędrowały ku górze. – Doradziłbym ci, żebyś pod żadnym pozorem nie szedł do starego kamieniołomu, który latem mają zalewać – rzekł z powagą tak wielką, że Zabijaka przez chwilę rozważył nawet zrezygnowanie z całej sprawy. Ciekawość jednak wygrała. Skinął tylko Filozofowi, obaj dokończyli swoje butelki, Jan przystąpił do skręcania peta z resztek wiśniowego tytoniu.

- Filozof?

- No?

- Jedna sprawa – rzucił, wstając, odpalił dymka, zaciągnął się, wypuścił kłęb dymu, rozwiany od razu przez w nocnym powietrzu. – Czy ty jesteś...

- Pewne sprawy – przerwał mu z tajemniczym półuśmiechem towarzysz rozmowy – wypada zostawić niedopowiedziane.

Zlustrowali się wzajemnie wzrokiem, skinęli porozumiewawczo głowami, Jan udał się w kierunku auta.

- Jedź bocznymi ulicami! – krzyknął za nim Filozof. – Na głównych łapią!

Zabijaka machnął mu ręką w podzięcie. Zniknął w mroku i wichurze.

Drzwi starego, wysłużonego Volkswagena zamknęły się z donośnym trzaskiem, ciężkie podeszwy zatrzeszczały na śnieżnej pokrywie. Jan spróbował przebić wzrokiem zasłonę kurzawy, nie widział jednak nic dalszego niż kilkanaście metrów. Pamiętał dokładnie, w którym miejscu w płocie otaczającym teren kamieniołomu znajdowała się wyrwa, przez którą zwykli z przyjaciółmi się przemykać.

Krzaki, wśród których ukryte było przejście, przypominały wielkie igloo, gdy wszedł w niewielką przerwę w śnieżnej czapie, znalazł się w zamkniętej przestrzeni, musiał sobie przyświecić telefonem, żeby w nic nie wpaść. Odszukał po pewnym czasie rozerwaną siatkę, ostrożnie przełożył nogę nad ostrym drutem, po drugiej stronie biały puch sięgał mu do kolan. Brnąc przed siebie ujrzał niewysoki nasyp, może jakieś trzy, cztery metry, wdrapał się, nie bez problemów, na górę, przystanął.

W dole rozpościerał się przed jego oczami przepastny krater kamieniołomu, chociaż w zasadzie mógł widzieć tylko niewielką jego część, ze względu na śnieżycę, która z każdą chwilą zdawała się przybierać na sile. Pamiętał, że na dół wiodły zasadniczo dwie ścieżki – pierwsza, oficjalna, dojazdowa dla wielkich ciężarówek i sprzętu, a także druga, wykorzystywana głównie przez znudzonych młodziaków, wijąca się wzdłuż zbocza krętą, wąską serpentyką.

Zjechał po łagodnym stoku wału, poszukał wzrokiem ścieżynki, nadaremno, była skryta pod grubą warstwą śniegu, w twarz uderzyła go chmura lśniących drobin. Zmrużył powieki, wypatrzył kilka rachitycznych drzewek wyrastających spod zlogów firnu na kamienistej krawędzi, ostrożnie skierował się w dół.

Podłoże okazało się być zdradliwe już po kilku krokach. Serce podjechało mu do gardła, kiedy grunt usunął mu się spod nóg, pociągając go za sobą w przepaść. W desperackim odruchu rzucił się w tył, próbując chwycić się czegokolwiek, nie udało się. Szurając plecami o żwir i kamienie, zaczął sunąć ku dnu.

Zahaczył o coś stopą, siła pędu wyrwała go w przód, zarył twarzą w lodowaty śnieg i ukryte pod nim rumowisko, rozwalił sobie skroń, poczuł ciepłą krew ściekającą koło oka. Otarł ją, zadarł głowę, by ocenić, jak daleko go zrzuciło. Nie mogąc dostrzec początku osuwiska uznał, że skrócił sobie nieco drogę, grunt to myśleć pozytywnie, uznał.

Powstał, syknął, czując nasilający się ból w kostce, ostrożnie postąpił dalej, w zasadzie to opadł na czworaki i tyłem opuszczał się stopniowo coraz bardziej w dół. Przemókł przy tym do końca, palce kostniały mu z każdą sekundą, w oczy zacinał bez litości śnieg, kolana bolały niemiłosiernie, kostka zaczynała puchnąć. Zacisnął zęby, przymknął oczy i podjął wędrowną.

Nie wiedział, ile w zasadzie mu to zajęło (przy czym podejrzewał dość słusznie, że długo), ale po jakimś czasie dotarł na miejsce. Zmarznięty do kości, obolały, ale jednak dotarł.

Otrzeptał się z gęsto oblepiającego całą sylwetkę śniegu, ocenił sytuację. Dopiero teraz doszło do niego, że w zasadzie nie najlepiej to sobie wszystko zaplanował, działając pod wpływem chwili. Ale cóż, zdarza się. Kuśtykając, podążył wzdłuż krawędzi krateru.

Wtem, kiedy pociągając bezsilnie nosem wędrował przed siebie, dostrzegł gdzieś z przodu niewielki ruch, ledwie możliwy do ujrzenia. Zamarł. Znowu, coś przemknęło od jednego kamienia do drugiego. Chciał się powolutku wycofać, w czym przeszkodziła mu uszkodzona kostka, która nagle ozwała się nową falą świdrującego bólu. Syknął, zginając się w pół.

Został zauważony. Cień zbliżył się niezwykle szybko, przybrał ludzkie kształty. W mroku Jan nie był w stanie dostrzec wielu szczegółów. Napastnik był nieco niższy od niego, na głowie nosił czarną czapkę, twarz zasłaniały jasne gogle i ciemna maska, korpus osłonięty grubą, puchową kurtką, ręce w skórzanych rękawiczkach, luźne spodnie w wojskowe wzory wpuszczono w wysokie cholewy wojskowych butów. W pierś Zabijaki mierzyła długa, pokryta jakimiś opalizującymi symbolami, lufa lśniącego pistoletu. Uniósł dłoń.

- Kim jesteś? – wypalił bez zastanowienia, nim zdążył ugryźć się w język.

- To ja tu zadaję pytania – odpowiedział mu, zgodnie zresztą z przewidywaniami, przytłumiony głos. – Co tu robisz?

Jan dokonał szybkiego wyboru między wersją pod tytułem „Spaceruję”, a „Sam chciałbym to wiedzieć”.

- Prowadzę... eee... śledztwo – wyjąkał, słysząc samemu, jak niedorzecznie to brzmi.

- Lepiej stąd spadaj, kolego – mruknął tamten. Teraz detektyw był już pewien, miał zaskakująco wysoki głos. – Dobrze radzę. Nic tu po tobie. – Napastnik opuścił broń. – No, myk, myk – pogonił.

- Takiego – sprzeciwił się, zdziwiony własnym zuchwalstwem. – Nie odejdę stąd z pustymi rękami.

Obcy obrócił się ponownie w jego kierunku, Jan ujrzał swoje odbicie w jaskrawym szkle gogli. Czuł na sobie spojrzenie uzbrojonego draba, ale ani nie drgnął, chociaż wzrok miał utkwiony w ręcznej armacie dzierżonej pewnie przez zamaskowanego. Po dłuższej chwili nieznamomy parsknął tylko śmiechem.

- Jak sobie chcesz – sarknął. – Tak z ciekawości, on cię przysłał? – zapytał.

Zabijaka postanowił rznąć głupa, w nadziei na wywiedzenie się czegoś więcej.

- Tak, on – przytaknął. – Mam zapytać o postępy akcji.

Miał nadzieję, że nie palnął żadnej karygodnej gafy. Ale nie, najwyraźniej napastnik namyślał się po prostu nad odpowiedzią.

- Nasz cel zadekował się w ukrytej jaskini, o tu – wskazał ręką gdzieś przed siebie – razem z obstawą. Jakichś dwudziestu chłopca, jeżeli nie liczyć reszty.

Jan przytaknął, taktownie nie dopytując się, o jaką „resztę” może chodzić.

- No, to prowadź – zakomenderował.

Obcy wzruszył niedbale ramionami i ponownie zaczął się skradać. Zabijaka pokuśtykał niezgrabnie w ślad za nim.

Brnęli w milczeniu przez śnieżne zasy, Jan starając się nie zgubić swego niespodziewanego przewodnika, z kolei „niespodziewany przewodnik” zdawał się usilnie próbować zniknąć z oczu swego towarzysza. Ale jakoś szli do przodu.

Po, ponownie ciężkim do określenia, pewnym czasie, nieznajomy przypadł do wielkiego głazu, wychylając tylko głowę co jakiś czas, oczekując na Jana. Trochę zajęło, zanim zdyszany, przepocony detektyw dołączył do niego, osuwając się ciężko po powierzchni kamienia. Zabijaka mógłby przysiąc, że dostrzegł pogardliwe spojrzenie zza gogli.

- Dobra, panie piękny, przed nami wejście – burknął. – Zostajesz tutaj i czekasz na m....

- Figa – stęknął Jan. – Idę z tobą.

- Nie ma takiej...

- Jest – zaoponował. – Chyba, że chcesz mnie mieć na sumieniu, tutaj zamarznię w ciągu paru minut.

Jego rozmówca musiał wziąć sobie jego słowa do serca, ponieważ umilkł, popadając w krótką zadumę.

- Niech ci będzie. Ale idziesz w tyle, najciszej jak możesz, nie odzywasz się, nic. Rozumiesz?

- Ta jest. – Zasalutował niedbale.

Nieznajomy westchnął cicho i podjął przerwany marsz. Jan pomknął za nim niczym kulawy cień. Wciąż dzierżąc pukawkę, okutany typ pomacał skalną ścianę, przycisnął rękę do jednego miejsca, trwał w bezruchu przez chwilę. Kiedy Jan, zniecierpliwiony czekaniem, już chciał się odezwać, zaczęły się dziać coraz to dziwniejsze rzeczy.

Ściana, lita skała, gładziutka, bez żadnych wyrw czy szczelin, otworzyła się nagle. Tylko najwyższym wysiłkiem woli Zabijaka ukrył zdziwienie. Groza jednak musiała odmalować się na jego twarzy ostrymi liniami, ponieważ przewodnik uniósł w jego kierunku broń.

- Dobra, kolego, otwarte karty – zawyrokował. – Kto ty jesteś?

„Polak mały” samo cisnęło się na usta.

- Tylko spokojnie – odrzekł jednak. – Badam sprawę zaginięć...

- Czyli jednak nie jesteś z naszych – mruknął napastnik.

- Jakich „naszych”?

Zapadło dłużące się milczenie. Tamten wzruszył ramionami.

- Z kościoła – odpowiedział po chwili.

„No, to wpadłem jak śliwka w gówno”, zawyrokował.

- A ty co, jesteś agentem do zadań specjalnych? – spróbował zażartować.

- Tak.

„Szlag”.

- Toooo... co teraz?

Obcy wypuścił ciężko powietrze z płuc.

- Zostawić cię tu nie zostawię – oznajmił. – Odstrzelić też cię nie mogę. Więc masz iść za mną, cicho jak mysz. Zachowujesz bezpieczny odstęp i nic, ale to nic, nie mówisz. Tak?

- Tak.

- No, to w drogę.

Skonfundowany Jan ruszył za swoim przewodnikiem, w mrok wąskiej skalnej szczeliny, która pojawiła się znikąd, myśląc intensywnie. O co w tym wszystkim chodziło? Że co, że kościół miał własną sekcję komandosów, których wysyłał sobie tu i tam? Ale po co? Potrzebował więcej danych.

- Więc z czym tu w zasadzie mamy do czynienia? – szepnął niemal niedosłyszalnie. Jednak idący z przodu z miejsca zeszywniał, obracając się w jego kierunku.

- Co było powiedziane o...

- Tak, tak – machnął ręką. – Ale jestem ciekaw.

Nieznajomy raz jeszcze westchnął, siadając na pobliskim kamieniu, lufą pistoletu wskazał naprzeciwległy głąz. Jan posłusznie usiadł.

- Dobra, słuchaj. Jak wiesz, podczas drugiej wojny światowej w okolicy było pełno nazistów. A przewodził im jeden z nielicznych, którzy posiadali oryginalne wydanie *Mein Kampf*...

- Jak to, „oryginalne”?

- No widzisz, to, co ujrzało światło dzienne, było wersją mocno okrojoną przez nazistych ludzi...

- No to nie najlepiej wam poszło – mruknął.

- Zdziwiłbyś się. Gdyby oryginał trafił w ręce mas, stary dobry Adolf zapewne rządziłby dziś całym światem.

- To co tam takiego było?

- Obecnie niewielu wie. W każdym razie, poruszał temat świata metafizycznego, udowadniając jego istnienie, opisywał przebieg bluźnierczych rytuałów, mających zapewnić Trzeciej Rzeszy zwycięstwo, takie tam. Wracając, w Opolu miały być zakopane pradawne, pogańskie artefakty, które hitlerowcy istotnie znaleźli, co z nimi zrobili, nie było wiadomo aż do niedawna. Okazuje się, że wykopali je, odprawili nad nimi jakieś rytuały, po czym zakopali z powrotem. Teraz jakaś grupa od paru tygodni siedzi tutaj, bawi się w nekromantów i kontroluje pogodę. Zadowolony?

- Czeka, czeka... powiedziałaś... „nekromantów”?

- Tak, nekromanci – potwierdził. – Wskrzeszanie trupów, te sprawy. No, komu w drogę...

- Moment, moment, moment – powstrzymał go Jan. – Czyli mówisz mi, że w świecie tak po prostu jest magia?

- I potwory – dodał. – Niewiele, ale jednak.

- I kościół ma specjalną jednostkę, która...

- Źle się zrozumieliśmy – zaprzeczył. – My – postukał się palcem w pierś – działamy niezależnie, powoływani tu i ówdzie przez opatrność w czyjejs osobie, można powiedzieć, że jesteśmy takimi współczesnymi Apostołami, rozumiesz. Księża patrzą na to, co robimy przez palce tylko dlatego, że zapobiegamy wybuchom paniki. Więc wilk syty i owca cała. Zadowolony? Świetnie. Ruchy.

Wstali, ruszyli w głąb mrocznego korytarza. Obcy wyjął zza pazuchy grubej kurty drugą broń, bliźniaczo podobną do pierwszej, sprawdził szybko magazynki. Powietrze stało w miejscu, czuć było smród zgnilizny, jedynymi dźwiękami przerywającymi martwą ciszę były ich kroki na żwirze, zdające nieść się donośnym echem w klaustrofobicznym wnętrzu. Tunel zwężił się w pewnym momencie do tego stopnia, że musieli się przeciskać, ledwie mieszcząc się w ciasnym przejściu.

Droga dłużyła się kuśtykającemu w tyle Janowi, jednak nie odzywał się już więcej ani słowem. Naziści, nekromancja, potwory? Stek bzdur jakiś. Na pewno wszystko będzie się dało logicznie wyjaśnić.

Sylwetka przewodnika niknęła raz po raz w ciemności, zdając się znikać z oczu Zabijaki. Nagle, ni z tego, ni z owego, nieznajomy zatrzymał się, nakazując podążającemu za nim chłopakowi to samo. Detektyw wstrzymał oddech. Ziemia zadrżała, obsypały się kamyczki ze stropu, ale poza tym nic się nie stało. Ponownie zaczęli się skradać, chrzęszcząc żwirem.

Z przodu mignęło światło, najpierw jeden raz, potem drugi i trzeci. Nieregularne, jakby... z ogniska? Tak, ciepłe, przerywane, rzucane przez płomienie znajdujące się tuż za, odległym jeszcze, skalnym załomem. Zwolnili jeszcze bardziej. Samozwańczy zabójca potworów przypadł do krawędzi, wychylił głowę, ocenił sytuację, poszedł dalej. Jan podążył za nim.

Znaleźli się w niewielkiej wnęce, rozświetlonej skromnym paleniskiem na środku, nad którym na rożnie piekł się kawał mięsa. Dookoła porozstawiane było kilka skrzyń, służących zapewne w roli krzesel, tam i ówdzie leżały zakrwawione noże. Wzrok detektywa ponownie spoczął na poczeriałym fragmencie ścierwa zawieszonym nad płomieniami, poczuł jak obiad wędruje w górę przełyku.

Nad ogniskiem, dobrze już przypieczona, smażyła się ludzka ręka. Dosyć spora, warto zauważyć.

- Hm, czyli jeszcze kanibale – wymamrotał pod nosem nieznajomy, odbezpieczając broń. – Nieciekawie to wygląda. – Zachowywał zadziwiający w takiej sytuacji spokój, co w istocie mogło potwierdzać, że miał już z tego typu przypadkami doświadczenie.

Tymczasem jego mniej doświadczony w podobnych sytuacjach towarzysz opadł ciężko na ziemię, tocząc walkę z własnym organizmem, by nie zwymiotować. Wygrał, chociaż niewiele brakowało, zaczął się podnosić, kiedyś coś chwyciło go za opuchniętą kostkę i pociągnęło z siłą ciężarówki do tyłu. Krzyknął, zarył twarzą o ziemię, rozkwaszając sobie przy okazji nos, zaszurał po kamyczkach podłoża, jadąc w mrok tunelu. Nieznajomy odwrócił się, błyskawicznie wycelował, oddał strzał, uścisk, silny uprzednio niczym imadło, zelżał odrobinię, na tyle, by ofiara mogła obrócić się na plecy, co też uczyniła, i czego od razu pożałowała, widząc swego oprawcę.

Wysokie na dobre dwa metry, powyginane, rozpadające się truchło o pomarszczonej skórze barwy zgnitej zieleni, pozbawione dolnej żuchwy, żółty napuchły jęzor zwisał bezwładnie, mając z jednej strony na drugą, dwa puste oczodoły zdawały się wpatrywać w Jana z niemym wyrzutem. Z gardła młodego detektywa wyrwał się niemalże dziewczęcy pisk przerażenia.

Huk drugiego wystrzału uciął wszelkie inne dźwięki, niosąc się donośnym echem po przepastnych mackach korytarzy. Trup zwiotczał, łupnął głośno o ziemię, drgając, z rozkwaszonego czerepu wyciekała czarna jucha, tworząc pokaźną kałużę. Truchło miotano się w drgawkach jeszcze przez krótką chwilę, po czym zastygło w bezruchu.

- No, to teraz już na pewno wiemy, że tu jesteśmy – sarknął nieznajomy, podając, odrętwiałemu ze strachu, Janowi dłoń. Sięgnął raz jeszcze za poję kurtki, by wyjąć jeszcze jeden pistolet, tym razem mniejszy, nie aż tak imponujący. – Trzymaj, przyda ci się.

Jan, chwając się na boki, otrzepał poły wymiętego płaszcza, obejrzał pobieżnie broń, nie żeby wiedział, jak się z nią obchodzić, całą wiedzę na ten temat czerpał z filmów sensacyjnych, w których główny bohater kosił całe tabuny przeciwników jednym magazynkiem tylko po to, by amunicja skończyła się przed finałową konfrontacją z antagonistą.

Przysiadł na jednej ze skrzynek z gromkim sapnięciem, wlepił otepiały wzrok w trzaskające płomienie ogniska, opiekające czyjąś rękę. Tłuszcz skapywał z kończyny, skwiercząc na rozżarzonym drewnie, srebrzysty metal pistoletu pobłyskiwał czerwienią, zwisając w bezwładnej dłoni detektywa, po raz kolejny zadającego sobie pytanie, co on tu właściwie, do cholery ciężkiej, robi.

Wtem z kilku korytarzy dobiegły ich odgłosy szybko zbliżających się kroków. Nim Jan zdołał cokolwiek zrobić, nieznajomy kopnął od boku skrzynię, na której siedział, wytrącając mu ją spod pośladków, Zabijaka zwałił się na bok, Nowoczesny Apostoł skrył się za jedną, większą skrzynką, wymierzył z dwóch broni w dwa wyloty tuneli.

Do niewielkiej, zadymionej jaskini wpadło pięciu ludzi, wszyscy mieli na sobie długie, czarno-szare, wytarte płaszcze sięgające kostek, wojskowe trepy, na szyjach związane czerwone chusty, na oczach gogle, podobne do tych używanych przy spawaniu, na ramionach wsparte jakieś stare, wysłużone półautomaty strzelające krótkimi seriami po trzy, cztery pociski. Cerę mieli nienaturalnie bladą, skórę na twarzach zapadniętą.

Potylica pierwszego pękła jak skorupka jajka już w chwili jego pojawienia się w pieczarze, malowniczo zdobiąc ścianę za nim fragmentami czaszki i mózgowia, z rozwalonego czerepu wydobywał się czarny dym, w powietrzu rozchodził się zapach siarki. Biegący za nim wyskoczył ze szczeliny, przeturlał się po ziemi, przypadł do sterty głazów, wystrzelił w kierunku towarzysza Jana, spudłował.

W tej chwili Jan również spróbował trafić jednego z napastników, pociągając za spust. Może by i trafił, gdyby pamiętał o odbezpieczeniu broni. Zaklął szpetnie, w panice odnalazł mechanizm, szarpnął nim, zapominając o tym, że wciąż trzyma spust. Grzmot wylatującej kuli ogłuszył go na chwilę, pocisk odbił się rykoszetem od ścian, umilkł. Dwaj kolejni, którzy właśnie składali się do strzału w kierunku Apostoła, jak już sobie zdążył go ochrzcić Jan, spojrzeli na leżącego na ziemi, zakrwawionego chłopaka. Zawahali się, nieznacznie, ale jednak, co dało czas ukrywającemu się przy ognisku nieznajomemu. Pierwsza kula trafiła w serce tego klęczącego bliżej, druga nie sięgnęła celu.

Jan właśnie wtedy, opanowując drżenie rąk i napływające do oczu, histeryczne łzy, pociągnął wściekle za spust kilka razy z rzędu, przemieniając korpus oponenta w krwawą miazgę. Dwa trupy, drgając w agonalnych spazmach, leżały w powiększających się coraz bardziej kałużach posoki.

Zostało jeszcze dwóch. Jeden siedział uparcie za kamieniami, co jakiś tylko czas oddając krótką serię zza osłony, drugi za załomem jednej z odnóg, wystawiał dłoń, strzelał raz czy dwa z przestarzałego Walthera. Zabijaka postanowił się więcej nie wychylać, doczołgał się najwyższym wysiłkiem do jednej ze skrzyń i tam zamarł. Nadszedł impas, którego nie mógł w tej chwili przełamać żaden z mężczyzn. Oczywiście czas działał na korzyść napastników, którzy mogli przecież wezwać posiłki.

- Wer? – ozwał się ten zza winkła.

- Mów po ludzku! – odkrzyknął Apostoł.

- Was? – padła odpowiedź.

Jan zamyślił się. Nigdy nie był dobry z niemieckiego, ale już na samym początku nauczył się bardzo istotnego zwrotu.

- *Wir verstehen nicht!* – zawołał.

Nastąpił wtedy ciąg niezrozumiałych dla obydwo Polaków słów w języku odwiecznego wroga, z którego zapewne i tak nic istotnego nie wynikało. Apostoła, mając dość przedłużającej się bezczynności, odturlał się z dala od ogniska, wstał, skoczył do przodu, strzelił w bok tamtego za skałami. Wtedy czający się w głębi tunelu również zaatakował, ale został przyszpilony do ziemi przez dwa strzały oddane na ślepo przez Jana. Nim zdołał wstać, rozejrzeć się, czy chociaż podrapać po skostniałym tyłku, dopadł do niego nieznamy, przyłożył mu do skroni lodowatą lufę broni i pociągnął za spust. Trysnęło aż na przeciwległą ścianę, towarzyszy Zabijaki musiał nosić przy sobie prawdziwe bestie.

- Hm... - zamyślił się, otrzepując kolana. – Dwa na tego wcześniej – rzekł, mając za pewne na myśli nieumarłego – pięć na tych tutaj... Czyli mam jeszcze siedem, plus jeszcze jeden magazynek poświęconych, plus trzy zwykłe... Ten strzelił sześć razy, co daje nam... Trzydzieści sześć kul – podsumował. – Może wystarczy – zasępił się. – Od teraz na trupy musimy używać bardziej tradycyjnych i tańszych metod. – Wyszarpnął z dyndającej przy pasie pochwy czarną maczetę, pokrytą jakimiś tajemniczymi symbolami. – Weź sobie jakiś nóż, lepsze to, niż nic – polecił Janowi. Rzucił mu też jeden automat podniesiony z ziemi. – Nie strzel sobie w stopę.

Detektyw bezwiednie przewiesił karabin przez ramię, wyrwał z jednej skrzyni nóż, ścisnął go mocno w dłoni, poszukał wzrokiem pochwy, nie dostrzegł żadnej, więc odrzucił ostrze gdzieś w dal.

Apostoła, zakręciwszy kilka młynków wydobytą maczetą, wszedł z mrok jednej z odnóg, Zabijaka bez słowa podążył za nim utykając z każdym krokiem coraz bardziej i odstając od przewodnika. A wiedział, że sam nigdy stąd wyjścia nie znajdzie, jeżeli zgubi towarzysza wśród labiryntu krętych szczelin.

Miał wrażenie, że schodzą coraz niżej w trzewia podziemi, zagłębiając się w zapomniane przez ludzi czeluści. Może nie leżały tu na każdym kroku ludzkie, obgryzione gnaty, jak we wszystkich tanich horrorach, ale już sam fakt zaduchu, wszechobecnej ciemności, nienaturalnej ciszy, a także wcześniejszego spotkania zdawał się być wystarczający, aby przybić każdego człowieka, zwłaszcza tak sfatygowanego jak Jan w obecnej chwili.

Zatrzymali się dopiero o wiele, wiele dalej, dawno zostawiając za plecami nikły blask ogniska, przy kolejnej grocie, tym razem znacznie większej, której strop nikał gdzieś w górze, pełno w niej było skalnych kolumn i nawisów, z których cicho skapywała woda. Tutaj nie było żadnego światła, ale nawykłe do mroku oczy mogły wychwycić niewielkie poruszenia, coś przemykało w cieniu.

Apostoła wszedł do komnaty pewnym krokiem, trzymając ostrze broni przy prawej nodze. Coś odkleiło się od pobliskiej kolumny i rzuciło na niego, on zaś uniknął przeciwnika, zwinął się w krótkim, gładkim ciosie, dało się dosłyszeć gruchnięcie ciała o kamień.

Kolejne kilka cieni zaczęło go otaczać, on jednak nie czekał już biernie, chlasnął jednego przez łeb, innemu odrąbał szponiaste łapy, próbujące go pochwycić, lawirował w nieemożliwy sposób pomiędzy nieruchawymi sylwetkami, w powietrze szybowały przegniłe kończyny ciągnąc za sobą warkocze czarnej krwi. Trwało to zaledwie krótką chwilę, po której Jan, przestępując nad cuchnącymi truchłami, podszedł do swojego towarzysza. Już chciał

mu pogratulować zręczności, kiedy dosłyszeli jakieś buczące dźwięki, gdzieś z przodu, od których podłoże ponownie zadrgało. Wznowili więc marsz.

Teraz z przodu mieli już tylko jedną, prostą ścieżkę, wiodącą coraz bardziej w dół, stromizna robiła się z każdym przebyтым metrem coraz większa, aż w pewnym momencie w zasadzie się ześlizgiwali.

Zapierali się o boki szybu dłońmi i stopami, co w przypadku Zabijaki przysparzało dodatkowego bólu w kostce. Zaciskał tylko zęby, sycząc co jakiś czas, starając się również nie zwracać uwagi na puchnący nos, niezdatny już w zasadzie do oddychania. Gdyby go teraz matka zobaczyła, to by pewnie zesłała na zawał.

W pewnym momencie noga Apostoła ześliznęła się po mokrym kamieniu, a łowca poleciał w dół, w desperacji łapiąc się Jana, który i tak ledwo dawał radę się utrzymać, zaś w momencie, kiedy jego obolałe kończyny musiały udźwignąć nagle dwukrotnie większy ciężar, poddał się zupełnie. Runęli obaj w mrok na dole.

Mieli przy tym więcej szczęścia, niż rozumu, ponieważ do dna zostało im raptem kilka metrów, stęknęli więc, czując, jak każdemu łamie się co najmniej jedno żebro, ale obyło się bez żadnych konkretnych urazów. Ich pojawienie się w, wielkiej tym razem, jaskini, pozostało jednak niezauważone przez kilkanaście ciemniejących w dole postaci.

Podczołgali się do krawędzi półki skalnej, na którą padli, wyrzeli zza kamieni, a oto, co ukazało się ich oczom:

Pośrodku przepastnej sali płonął olbrzymi stos, wokół którego stał krąg zakapturzonych sylwetek, inkantujących coś zapamiętale, nad wszystkim górował mężczyzna, stojący na kamiennym piedestale, ze zdobionym nożem w dłoni, łysy, blady, w białej szacie, z odrzuconym na wyprostowane, barczyste plecy kapturem, przed którym klęczał jakiś przerażony, nagi chłopak, chudy jak tyka, ogolony, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie przerażonego, wydawał się raczej nieobecny, kiwając się w przód i w tył.

Recytacja w dole przybierała na sile, kilkanaście par rąk uniosło w górę okrągłe przedmioty, które po dokładniejszych oględzinach okazały się być ludzkimi czaszkami, z wrażonymi w oczodoły czerwonymi kamieniami. Naczelny kapłan podszedł do ofiary, stanął za nią, uniósł lewą dłoń jej brodę ku górze, a potem, nie przestając wymawiać tajemniczych, niezrozumiałych słów, poderżnął nieszczęśnikowi gardło. Wodospad jaskrawej juchy popłynął po chudej piersi, ściągnięta twarz zaryła o kamień, strużki ciemnej krwi poczęły ciec podług kamiennych stopni.

Obserwatorzy opuścili głowy, by się naradzić. Apostoł spojrział na poblądłego po raz kolejny Zabijakę, niepewny, czy ową niezdrową jasność skóry wywołało zmęczenie, rytualny mord, który właśnie był ich udziałem, czy każde po trochu.

- Dobra, słuchaj – zaczął, najciszej jak potrafił – poczekaj, aż dojdę do tamtej kolumny – wskazał formację skalną znajdującą się nieopodal – a potem ostrzelaj ich serią z tego czegoś – kiwnął w kierunku przewieszzonego przez pierś detektywa karabinu. Sięgnął do jednej z kieszeni kurtki, podając mu pełny magazynek. – Tu masz siedem kul, w twoim powinna zostać jeszcze jedna. No, powodzenia.

Po tych słowach opadł na brzuch i począł czołgać się w kierunku wskazanej wcześniej pozycji. Jan wychylił się nieznacznie, by obserwować rozwój wypadków na dole. A te przybierały na prędkości.

Cała krew wyciekająca z, nieruchomego już, trupa wyraźnie kierowała się ku ognisku, ciągnięta tam jakąś siłą po piaszczystym podłożu, kiedy osiągnęła cel, płomienie buchnęły w górę z nową mocą, nabierając barwy jadowitej czerwieni. Zaśpiew ponownie wezbrał, niczym



fala przyływu wypełniając pomieszczenie swym echem. Zabijaka wciąż nie rozpoznawał języka, to była jakaś swoista mieszanka hebrajskiego z łaciną, tak mu się przynajmniej zdawało, nie rozróżniał poszczególnych słów. Wtedy też dostrzegł coś w płomieniach, przez ułamek sekundy załedwie, ale wystarczyło.

Pomiędzy tańczącymi, jasnymi jęzorami zamajaczyła na mrugnięcie oka paskudna, zeszpecona gęba, nienaturalnie wyciągnięta, o ostrych rysach, powyginanych kłach, smoliście czarnych oczach, bez nosa, zastąpionego jedynie przez szeroko rozwarte nozdrza, z kostnymi naroślami odstającymi na czubku.

Potem zaczęły migotać błoniaste skrzydła, jak u nietoperza. Na razie jedynie błyskały tu i ówdzie kończyny, ale Jan był święcie przekonany, że przybycie potwora tutaj jest jedynie kwestią czasu. Zerwał się więc na nogi i, nawet nie patrząc w kierunku Apostoła, ostrzelał inkantujących, dwiema krótkimi seriami zwalając na ziemię trzech. Pozostali jakby tego nie zauważyli, a ich recytacja nawet się nie zachwiała. Zabijaka szarpnął więc za spust kilka razy, trafiając następnych, aż trzask zamka oznajmił mu koniec zabawy w strzelca. Odrzucił bezużyteczny karabin, chwycił pistolet z jedną kulą, mierząc w przewodzącego wszystkiemu kapłana.

Wtedy piaszczysta posadzka wybuchła kilkoma gejzerami, z których zaczęli wylewać się nieumarli, kształt w wielkim stosie stawał się coraz wyraźniejszy. Po grocie poniósł się grom wystrzałów dwóch ręcznych armat Apostoła, zabijając w okamgnieniu kolejnych kilku akolitów.

Jan w panice strzelił w zwałistego ożywieńca, przypominającego posturą goryla, a będącego w istocie zlepkiem kilku ciał, biegnącego w jego kierunku. Pojedyncza kula nie wywarła na bestii większego wrażenia, detektyw szybko, niedbale wyrzucił pusty magazynek, sięgnął na oślep po następny, włożył go na miejsce, spróbował strzelić, zapomniał o przeładowaniu, ponowił próbę. Wystrzelił sześć razy, zanim potwór w końcu znieruchomiał.

Uwagę pozostałych wyraźnie skupił na sobie Apostoł, ku któremu zmierzała prawdziwa horda zombie. Zabijaka ponownie złożył się do strzału, celując ku odzianemu w nieskazitelnie białą szatę kultyście. Nacisnął spust.

Pobojowisko wyglądało naprawdę paskudnie.

Piętnaście zakapturzonych trupów leżało szczelnym kręgiem wokół dogasającego ogniska, za nimi, w głębi sali kłębiły się stosy zgniłych trucheł, z których sterczały powyginane kończyny, zzieleniałe czerepy, szczyrzyły się zęby pożółkłych żeber, wiły robaki jelit. Nieco wyżej dogorywał pokiereszowany Apostoł, otoczony szczelnym kręgiem pokonanych wrogów. Odzież wisiała na nim w zasadzie w strzępach, ale co ciekawe, maska i gogle zostały na swoim miejscu. Jan, który jakimś cudem, sam tym faktem zdziwiony, przeżył całe zajście, podszedł do umierającego.

Z rozoranego uda tryskała kaskadami czerwona krew, lewa ręka zwisała smętnie, niezdatna do użytku, pogryziona w wielu miejscach praktycznie do kości. Ale jeszcze oddychał. Zabijaka ściągnął gogle i maskę, po czym... zamarł w bezbrzeżnym zdumieniu.

Jego oczom ukazała się bowiem, całkiem ładna przy tym, twarz młodej dziewczyny. Drobne piegi, ostre rysy, prosty nos, błękitne oczęta jak u łani, kosmyk złocistych włosów opadający na siniejącą od uderzenia skroń. Coś ścisnęło go za serce. Chwycił dłoń dziewczyny, odwzajemniła gest, spróbowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko charkot. Kaszlnęła, wypluwając sporo krwi. Na ustach, poruszających się niemo, wykwitły czerwone bańki, Jan zbliżył ucho.

- A... Ania – dotarło do niego.

- Ładne – powiedział, gdy zrozumiał, do martwej już dziewczyny.

Posiedział jeszcze trochę przy niej, wstał jednak w końcu, by sprawdzić ciało sprawcy całego tego zamieszania.

Truchło kapłana leżało u szczytu kamiennych schodów, z niewielką dziurą ziejącą pośrodku klatki piersiowej. Rozwarte szeroko w nieopisanym zdziwieniu oczy wpatrywały się szklście w ciemny strop jaskini. Jan dostrzegł, że coś zwisa mu na szyi, pochylił się, zerwał siłą łańcuszek, dostrzegł znajomy kształt. Czarny niewielki krzyżyk, szedł o zakład, że gdyby się dobrze przyjrzał, dostrzegłby mikroskopijny napis „Mortem”.

Schował bibelot do kieszeni, rozejrzał się jeszcze. Chłopak, którego gardło zostało poderżnięte, zdawał się być malutki, choć w istocie musiał być wzrostu Jana, który domyślał się, kto przed nim leżał. No cóż, chłopcy dresiarze będą musieli się obejść bez swojego przyjaciela, Łysego.

Jego uwagę przyciągnęła sporych rozmiarów księga, leżąca na swoistym podium wyglądającym na powstałe w sposób naturalny, chociaż pewności mieć nie mógł. Musiała mieć jakiś metr wysokości i połowę tego szerokości. Otarł okładkę z ciemnej skóry przysypaną pyłem, dostrzegł nazwisko autora oraz tytuł.

Raz jeszcze rzucił okiem na pole niedawnej bitwy.

„No, tylko jak ja teraz stąd wyjdę, do cholery?”, pomyślał.

Samotna postać stała na zaśnieżonym wale u szczytu krateru kamienioloemu w promieniach porannego słońca, podziwiając krajobraz w dole, sącząc najtańsze piwo z pobliskiego sklepu monopolowego. Czarna skóra rękawiczek lśniła blado.

Daleko na dnie dało się dostrzec przygarbioną sylwetkę, która jakby pojawiła się znikąd, niosąc pod pachą coś prostokątnego o sporych gabarytach, obwieszoną bronią. Kierowała się ku niepozornemu autku zaparkowanemu kilkaset metrów dalej, w cieniu drzewa wyrastającego ze skalnej ściany. Człowieczek szarpnął drzwiami, wrzucił bagaż na tylne siedzenie, odpalił samochód.

- To mi się udało, co? – zagadnął ktoś z tyłu.

Filozof nawet się nie obracał, wiedząc, kogo ujrzy. Metr osiemdziesiąt cztery wzrostu, złociste włosy, poprzetykane gdzieniegdzie nitkami siwizny, także bródka, długi, beżowy trenecz, czarna fedora, kościste palce zaciskające się kurczowo na rączce purpurowego nesesera oraz przyklejony niemalże na stałe do wąskich warg podły uśmiešek.

- Udał, nie powiem – przyznał rację Janowi Zabijace Seniorowi, znanemu również wszędzie indziej jako Johann Raufbold. – Wykapany tatuś.

Raufbold zrównał się z Filozofem, zdjął kapelusz, spojrzął w tym samym kierunku co rozmówca. Dwie pary oczu śledziły trasę niewielkiego, czarnego samochodziku, brnącego z mozołem przez zasy.

- Śnieżycyca ustała – zauważył, poprawiając na nosie lenonki. – Czyli chyba nie do końca po twojej myśli poszło?

- Mojej, nie mojej – zażartował. – Wiemy przecież, skąd idą wszystkie wytyczne.

- Punkt dla ciebie – przepił do niego. – Piwka? – zaproponował, pokazując zawartość dzierzzonej w lewej dłoni siatki.

- Nie, dzięki, nie piję. Papieroska? – Wyciągnął w kierunku Filozofa paczkę LM-ów.

- Nie, dzięki, nie palę – podziękował, uśmiechając się porozumiewawczo. – Swoją drogą, ciekaw jestem jednej rzeczy.

- Hm? – zdziwił się Zabijaka Senior, odpalając końcówkę peta promieniem ognia wystrzelonym z koniuszka palca wskazującego.

- Poprzednio była powódź, teraz śnieżyca. Co będzie następne? Susza?

Niemiec roześmiał się serdecznie, wypuszczając w górę kłąb dymu.

- Może być i susza – przytaknął. – Zresztą nie wiem, na co wpadną ci moi, znasz ich przecież doskonale, nieobliczalna banda. Przy tym uważam, że i tak nie przebiję nigdy trzydziestego dziewiątego i lat późniejszych.

- Zgoda – potwierdził. – To ciężko przebić. A tak w ogóle, który to już będzie?

- Kto, ten? – Wskazał palcem własną pierś. – Hm, czekaj, niech no pomyślę... Pięćset dziewięćdziesiąty ósmy? Albo siódmy? Tak, chyba siódmy. A co, ten twój ma już dość?

- A gdzie tam – zaprzeczył. – Dobrze mu, niczego nie brakuje, a on prosty człowiek, jak widzisz. Narzeka tylko trochę na ręce, ale do przeżycia. A ja przynajmniej nie muszę się co kilkadziesiąt lat uganiać za nowym – wytknął.

- Może, ale tak przynajmniej jest ciekawie, co zresztą sam widzisz. Ale z twojego pytania wynoszę, że tobie osobiście się już nieco dłuży, hę?

- A tobie nie? – Raufbold wzruszył niedbale ramionami. – No tak, ty zawsze byłeś żywo zainteresowany tematem. Tylko nie rozumiem, dlaczego, skoro widzimy już, że coś poszło nie tak, nie załatwimy sprawy od razu.

- Bo musimy wykryć, CO poszło nie tak – wyjaśnił spokojnie, zaciągając się dymem. – Takie wytyczne, nie poradzisz. Zresztą, ja tu dłużej siedzę od ciebie i nie narzekam, choćbym mógł. Teraz to już kwestia kilkuset lat, może więcej. A potem odpalamy wszystko, co mamy i zaczyna się zabawa, nie?

Filozof skinął tylko głową, zamyśliwszy się. Czarne auto zniknęło właśnie za zakrętem wijącej się drogi dojazdowej.

- Ile dasz mu czasu? – zapytał.

- Komu? – Popatrzył na kamieniołom. – A, jemu? Bo ja wiem? Teraz pewnie będzie musiał sobie wszystko w głowie poukładać, chociaż wątpię, żeby rodzinka jeszcze go zobaczyła, w końcu mój syn, nie? Może dziesięć lat, jak Jan Zabijaka Senior się będzie dobrze trzymał.

- Co ty im w zasadzie takiego oferujesz, że wszyscy się zgadzają? – zaciekawiał się.

- Och, przeróżne cuda, zdziwiłbyś się – zarechotał. – Jedni chcą, tradycyjnie, sławy, inni pieniędzy, ale zdarzają się też oczywiście wyjątki. Taki Adolf chciał, aby wszyscy go pamięтали. Dostał, co chciał? Dostał. I nie narzeka, szczerze powiedziawszy. A czego zażyczy sobie młody? Kto wie? – Puścił kółko z dymu. – Może, żebym wskrzesił dla niego tę dziewczynę? Chociaż to akurat może być ciężkie, ale coś wymyślimy.

Trwali tak przez czas jakiś w milczeniu, wpatrzni w horyzont, przypominali dwóch gigantów z pradawnych skandynawskich mitów, obwieszczających koniec świata. A byli tylko prostym biznesmenem i dresiarzem, który lubił czytywać wieczorami dzieła starych filozofów, z wyłączeniem może Nietzschego.

- Jak to będzie wyglądać? – odezwał się w końcu Filozof. – Tak jak mówią, czy jednak bardziej kameralnie?

- Może na początku pojedziemy zgodnie ze scenariuszem – stwierdził. – Potem wszystko będzie stopniowo przycichać, ale założenia pozostaną. Nie będzie to wyglądało ładnie, uwierz mi.

- Wierzę.

Po raz kolejny zapadło dystygowane milczenie. Szklana butelka i niedopałek papierosa poszybowały w dół z boczka w tej samej sekundzie.

- Dlaczego akurat Opole? – zagał nagle Filozof. – Dlaczego nie Warszawa, Berlin, czy nawet Nowy Jork?

Johann zamyślił się.

- A bo ja wiem? Nie lubię gwaru wielkich miast, każdy się zawsze spieszy, nikt na nic nie ma czasu. A tu jest... spokojnie. Jak przyjdzie co do czego, to za tutejszych wezmę się chyba na końcu, z sentymentu. – Odpalił kolejnego papierosa, Filozof otworzył kolejne piwo. – Młody?

- No?

- Nie dasz mnie odstrzelić?

- No co ty? Ciebie? Nudno by było bez ciebie przecież.

Zaśmiali się obaj. Pomilczeli jeszcze przez chwilę, pierwszy sącąc pomalutku tanie piwo, drugi wypuszczając kłęby dymu z papierosa. Kiedy pet się skończył, Raufbold zdeptał twardym obcasem tłący się jeszcze ogarek. Zrobił w tył zwrot i zaczął schodzić w dół nasypu.

- Jeszcze jedno, zawsze chciałem cię zapytać – rzucił Filozof, odwracając się w ślad za odchodzącym.

- Słucham.

- Jak udało ci się przetrwać tutaj przez te tysiące lat, wśród ludzi, niewykrytym, pogardzanym, nienawidzonym?

Niemiec wybuchnął atakiem serdecznej radości, zakładając na głowę czarny kapelusz, łypnął błękitnym okiem, w którym na sekundę zalśniła czerwień. Uspokoił się w końcu, stanął bokiem do Filozofa, uśmiechnął się tajemniczo.

- To jest tak, jak powiedziałaś – orzekł po chwili. – Beze mnie byłoby po prostu nudno.

Podjął marsz, by po paru krokach rozplynać się niczym obłok mgły. Filozof parsknął, pociągając łyk z butelki.

- Ha. Też racja.

**Koniec**